Nr. 32 Rok 4 Kraków, dnia 8 sierpnia 1943. 40 gr.

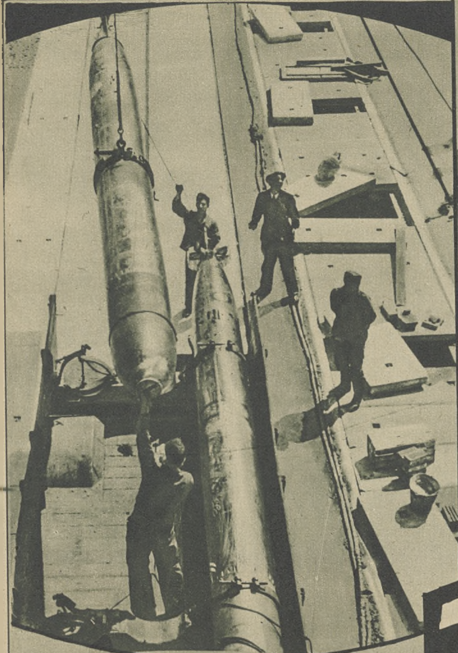
Ilustrowany KURJER POLSKI



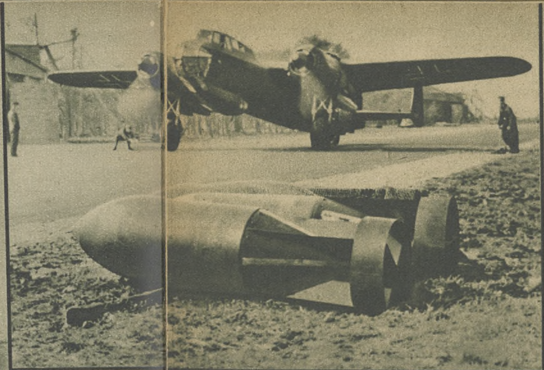
ŻNIWA

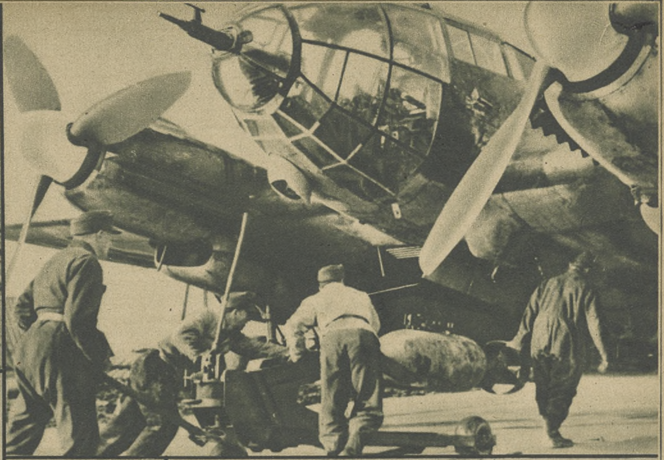
FOT. DILLAN

TYGODNIK WOJENNY







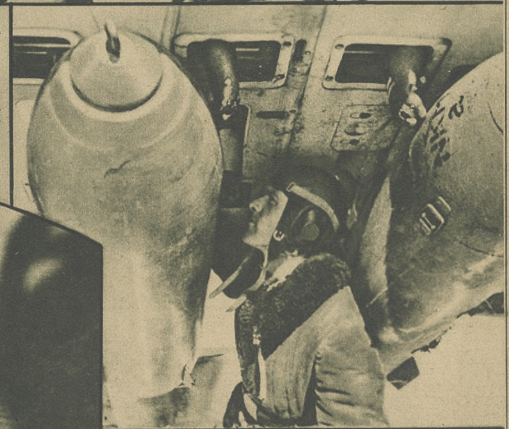




U góry i na prawo w górze:
Niemieckie samoloty bojowe i bombowce wyruszają do walki.
Na prawo:
Zbiórka grenadierów niemieckich u skraju nowozdobytej wsi na froncie wschodnim.

Powyżej:
Ładowanie bomb przed startem, a potem ...

Na prawo:
... jeszcze ostatnie szczegółowe sprawdzenie maszyny i bombowiec gotowy do lotu.



W lipcu straciła flota aliancka przeszło 336 000 btto reg. ton.

Na prawo: Ścigacze niemieckie na pełnym morzu.

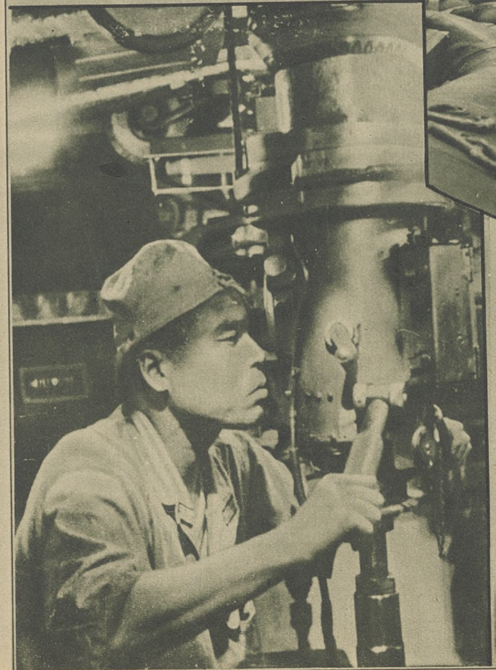
Fot: PK. Speck, Fröhlich, Grosse — Atl, Zwirner — PBZ, Horter, Richter, Gröner — Scherl, Stephan, Prokop — TO, Transocean 3.

Japońska flota osiągnęła w ostatnim czasie wiele dużych sukcesów na Pacyfiku.
Poniżej: Oficer japońskiej łodzi podwodnej obserwuje przez teleskop okręty nieprzyjacielskie.





Na lewo: Niemiecka łódź podwodna pokonała brytyjski transportowiec.
U dołu:
Ścigacze niemieckie zafortyfikowane u wybrzeży Atlantyku.

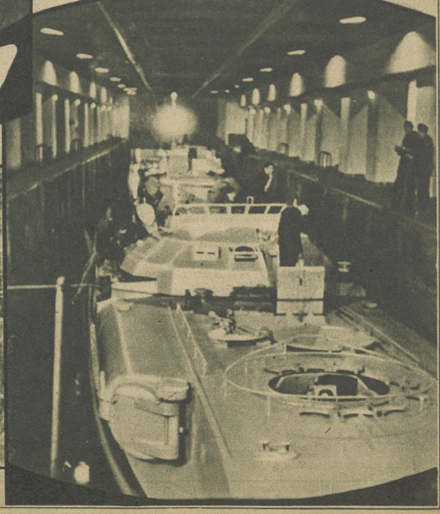


Żołnierze japońscy oglądają zestrzelony samolot brytyjski.





Japońscy strzelcy podczas walki w południowych Chinach.



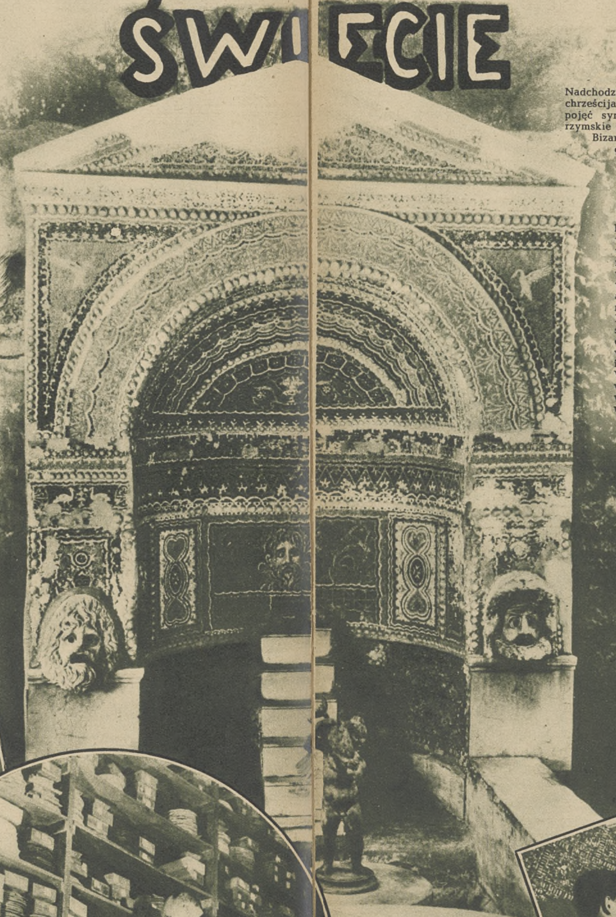
W ZACZAROWANYM ŚWIECIE

Fot: Witzleben i Peters 5
Archiwum 1
Transocean — Röhrich 4



Na lewo:
PRZED ROZŻARZONYM PIECEM
Robotnik szklarski zajęty jest wymieszaniem masy, z której wytapia się materiał mozaikowy.

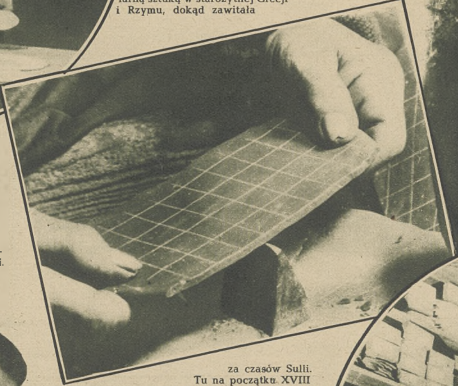
Na prawo:
ZABYTEK KULTURY POMPEJAŃCZYKÓW
W wykopaliskach pompejańskich odnaleziono tę przepiękną, olbrzymią fontannę, przedstawioną tu w miniaturze.





Mozaikę nazwano „sztuką malarską na wieczność". Istotnie, wieki całe przetrwała w istnych arcydziełach Wschodu, skąd prawdopodobnie wzięła swój początek. Jako dekoracja płaska, w której za materiał służą drobne kostki barwnej masy naturalnej lub sztucznej, stworzyła mozaika osobny dział sztuki, pośredni między malarstwem a rzeźbą płaską. Kolorowe kamienie, kostki o różnych kształtach figur płaskich, nawet drobnych sześcianów — wtykane obok siebie gęsto w warstwę tynku albo kitu na marmurze, murze, podłodze itd., tworzące tym sposobem dekoracyjny obraz bardzo trwały, oto właśnie mozaika.

Mozaika używana bywa zwykle do wykładania podłóg, ścian, pułapów, do ozdabiania kolumn, w architekturze, szczególnie wnętrz kościelnych, w przemyśle meblarskim, galanteryjnym nawet, a w ludowej sztuce zdobniczej również. Układana albo w geometryczne wzory, jako ozdobne posadzki czy bruki, stosowana w dekoracji o efektach malarskich, stała się mozaika bardzo popularną sztuką w starożytnej Grecji i Rzymu, dokąd zawitała za czasów Sulli. Tu na początku XVIII wieku powstaje też słynna szkoła mozaikowa Piotra Paolo Christophoris, konkurująca z zaawansowaną od XV stulecia drzewną mozaiką mistrzów tej miary co Brunelleschi i Majano, zwaną po włosku „Tarsia", z francuska zaś „Marqueterie". Florentyński sposób robót mozaikowych był odmiennym od rzymskiego. Tutaj mianowicie po ułożeniu wzoru na podłożu kitowym, ściskano mozaikę żelazną obręczą, skutkiem czego znikały szparki między kostkami mozaiki, cały zaś obraz czy wzór polewano potem na powierzchni. Jako sztuka starożytności, udoskonalona już bardzo w epoce hellenistycznej przedstawiała w pomysłach twórczych motywy zwierzęce, martwą naturę i obrazki rodzajowe. Hellenizm przydał mozaice wartość obrazową, czego najwspanialszym wzorem z tej epoki jest słynna „Bitwa Aleksandra Wielkiego". Epoka cesarstwa, to rozwój sztuki mozaikowej jako ulubionej dekoracji pałaców, willi, term, o czym dobitnie świadczą wykopaliska dawnych prowincyj rzymskich.



W kole:
JEDNO SPOJRZENIE W GŁĄB HUTY SZKLANEJ
Materiał mozaikowy przetapia się przy 1300° C z piasku czystego, węglanów niektórych metali i ługów w płytki wielkości talerza o grubości około 1 cm.

Na prawo:
W MAGAZYNIE SZKLARSKIM
Tu przecina się płytki z masy mozaikowej przy pomocy diamentu na małe kwadraciki.

Poniżej:
DALSZA FAZA PRZYGOTOWAWCZA
Inny robotnik przełamuje przy pomocy młotka diamentem znaczone miejsca na płytkach. Na tym kończy się praca przygotowawcza materiału mozaikowego.





Nadchodzi era chrześcijanizmu, a z nią, w epoce wczesnochrześcijańskiej mozaika służy do wyrażania nowych pojęć symboliczno-religijnych. Kościoły i katakumby rzymskie przechowały liczne zabytki tego rodzaju.

Bizancjum nadało mozaikom odmienny od innych charakter, bo wprowadziło jako materiał dla artysty kostki pozłacane jednostronnie, co uwydatniło swoisty styl wschodniego przepychu w ogromnych powierzchniach takimi mozaikami wykładanych. Sztuka mozaikowa w tej odmianie nosi rys hieratyczności, dostojeństwa, rys sakralny. Złotem mozaiki wykładane kopuły, sklepienia, łuki, absydy, tworzą jedyne w swym rodzaju efekty świetlne i działają na widza fascynująco. Głównym figuryzmem tych mozaik są osoby Chrystusa i Matki Bożej, bywają też sceny ze Starego Testamentu. Rozkwit wspaniałej tej sztuki przypada na wiek VI i VII, a kościoły w Konstantynopolu, Rawennie i Rzymie są skarbnicami dzieł tego rodzaju. Wiek XI i XII w Italii wzoruje się na bizantyńskiej sztuce mozaikowej, tworząc istne cuda w tej dziedzinie w kościołach św. Marka w Wenecji i katedrach Cefalu i Monreale na Sycylii. Wiek XIII, to częściowe wyzwolenie się mozaiki włoskiej z pod wpływu Bizancjum, a jej





TŁO POD MOZAAIKI
Rysownik przerysowuje swój szkic na kartonie w wielkości naturalnej, w której dzieło ma powstać.

W kole:
KOLOROWA PIRAMIDA
Oto skład wszystkich odcieni kamyczków. Służy on do łatwiejszego doboru potrzebnych barw.

Poniżej:
SKŁADANIE OBRAZÓW
Żmudna praca, wymagająca dobrego wzroku, smaku estetycznego i zgrabności.



Na lewo:
MAGAZYN MATERIAŁU MOZAIKOWEGO
Na wysokich półkach, ciągnących się niemal bez końca wzdłuż ścian, poukładane są płytki w najrozmaitszych kolorach.

Na prawo:
SKŁADANIE CAŁOŚCI
Zbyt wielkie obrazy składa się z części: osobno tło, ornamenty i właściwy obraz.



MOZAIKI

Śpij mój synku



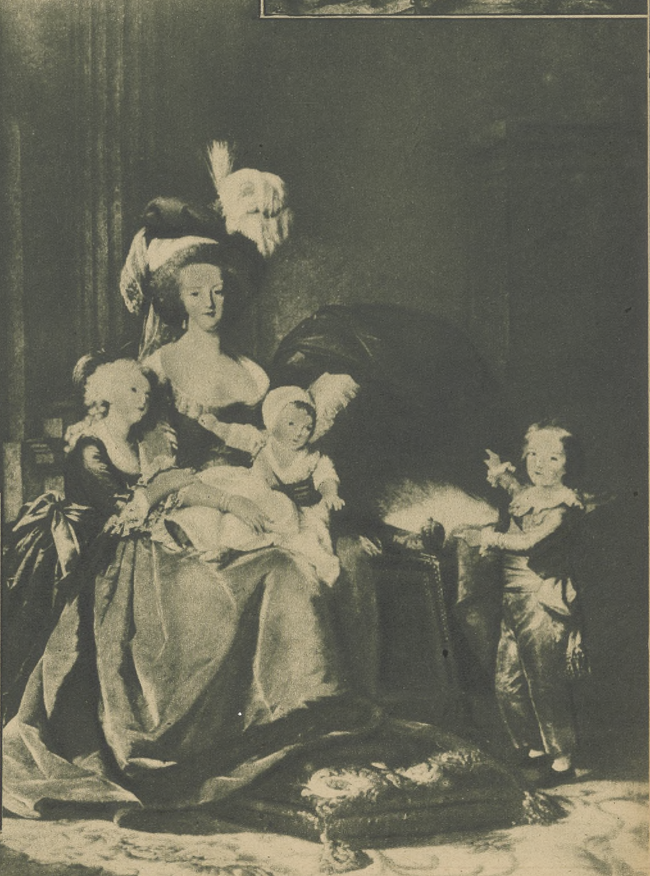
Na lewo: Z naukową dokładnością przedstawił nam malarz XIX. wieku scenę ze średniowiecza. Z odrobiną sentymentalizmu spogląda matka przy kolebce swego dziecka w nieprzeniknioną dal.

Fot: Witzleben i Peters.



Na prawo: Bardziej ożywiony jest obraz pochodzący z XVIII. wieku. Lekarz siedzi przy łóżku chorego dziecka. Nie tylko ruchy ludzi, ale również i każdy szczegół w pokoju jest wiernie oddany, przebija nawet pierwiastek humorystyczny.

Poniżej: Cechą charakterystyczną dla sztuki XVIII. wieku jest reprezentacja. Zamożna dama z trojgiem dzieci w bogatym i błyskotliwym otoczeniu — to wymarzony motyw dla malarza z epoki późnego baroku.





Prawdziwa prostota jest cechą istotną tego obrazu z XVII. wieku. Ze wszystkich przedstawionych na tej stronie jest chyba najbardziej naturalnym.



Tu odtworzył artysta XIX wieku scenę ze swojej własnej epoki. Z tą samą dokładnością z jaką oddał wyraz twarzy matki i dziecka, przedstawił również otoczenie.

E. HARDA

Rozwiązanie PAKTU

Przed oczyma skupionych słuchaczy Wolnej Szkoły Malarskiej przesuwają się kolejno wyświetlane obrazy z epoki impresjonistycznej.

Wykładowca historii sztuki artysta rzeźbiarz, Stefan Arpiński, objaśnia istotę tego ważnego kierunku w malarstwie, który wysuwa się na pierwszy plan pogardzany w epoce renesansu pejsaż.

Widzowie oglądają obrazy, które malowane pod wpływem atmosfery i światła są wizerunkiem optycznego wrażenia wzroku artysty.

Po głębokim bowiem studium natury i barwnych jej refleksów odkryto, że cienie nie są neutralnie ciemne, ale przejrzyste, barwne i o pewnej umiarkowanej światłości. Nie rzeczywistość zatem i abstrakcja, ale sceny z wolnego powietrza, przedstawione pod kątem widzenia wpływu, jaki na ich barwność wywiera wpadające do nich światło, są tematem impresjonistów i plenerystów. Nie mieszane w ich obrazach farby, łączące się w barwną całość dopiero w oku widza, dają niezapomniane wrażenie subtelnej gry barw, świateł i cieni.

Wykładowca nie objaśnia samych obrazów. Twierdzi on bowiem, że zadaniem dzieła sztuki jest wywoływanie artystycznego wzruszenia, które odczuwają adepci sztuki, posiadający zarówno odpowiednią dozę wrażliwości artystycznej, jak i tego rodzaju poziom przygotowania, że potrafią uchwycić całość, bez poddawania się w danej chwili refleksji krytycznej.

Sama analiza obrazów stanowi specjalne studium, po zapoznaniu się z epoką, w której żyje dany artysta.

Zaopatrzone audytorium składające się ze chaczy różnych płci i zawodów, nie porusza się po wyjęciu ostatniej kliszy.

Prymitywnie urządzona pracownia, prawie że w centrum gwarnego miasta, stanowiąca osobliwy kontrast, z przepełnionymi wytwornymi lokalami rozrywkowymi, daje sumę tak odmiennych wrażeń o abstrakcyjnym charakterze, że to oderwanie się od rzeczywistości objawia się w milczeniu i niechętnym opuszczaniu umiłowanego atelier.

Chodzą tu przecież wybrańcy. Nie wszyscy pod względem uzdolnień, ale czystego umiłowania tego piękna, które jest nieodłączne od wielkich talentów, i które stanowią tradycję kultury wieków.

W obliczu tego piękna maleją sprawy dnia codziennego, a raczej zabarwione sumą nabytych wrażeń wyższego rzędu, spadają automatycznie do rzędu koniecznych, ale nie ważkich spraw.

Artysta Arpiński zostaje sam, a raczej nie. Krząta się jeszcze modelka, zamieszkująca pracownię. Rozkłada dekoracje i zbiera klisze artysty, wręczając mu je na odchodnym.

Artysta powoli przechodzi gwarne ulice miasta. W szarej pelerynie i szerokim z rondem kapeluszu zadumany i nieuważny na dzieje przepełnionych ulic, dochodzi do swego mieszkania.

Mija pracownię pełną przykrytych rzeźb i rozebrawszy się siada przy biurku, założonym księgami, luźnymi sztychami i notatkami.

W półcieniu wieczoru ostro odbija się zarys jego wyrazistego profilu o rzymskim nosie, wysuniętej dolnej wardze i smętnie patrzących oczach.

Po każdym wykładzie artysta popada w zadumę. Przeżywa twórczość malarzy, będących tematem wyświetlań. Emocjonuje się ich geniuszem, którego tajniki zgłębia tak dokładnie sam.

Uważa, że najwyrazistszą, najbardziej przemawiającą do duszy i najplastyczniej objawiającą zaklęte piękno sztuki, jest dziedzina malarstwa i rzeźby.

Muzyka, — tak, — ale sądzi, że jej rodzaj oddziaływania na słuchaczy wymaga specjalnego talentu, znawstwa, czy wrodzonej kultury muzycznej. Podczas słuchania koncertu, nie można ogarnąć szczegółów danego utworu wiążących się w całość.

Trwają zbyt krótko i są niezrozumiałe dla tych, którzy nie posiadają wspomnianej wyżej kultury muzycznej w sensie zrozumienia bodaj form.

Studiowanie obrazu czy rzeźby stawia widza przed faktem dokonanym. Widzi całość. Może się napawać ich pięknem dowolnie długo. Może nie zrozumieć myśli twórcy, może nie znać rodzaju stylu, ale patrząc nań po wielekroćrazy, utrwala je sobie w pamięci, odczuwając na swój sposób sharmonizowanie piękna, barw, treści i kształtów.

Muzyka poważna jest jak tajemna wiedza zamkniętej kasty egipskich kapłanów. Jest dla wybranych. Pozostawia wrażenie nie zmaterializowane żadnym kształtem, wyjąwszy oper, programowych symfonii i ilustrowanych tekstem czy obrazami pieśni.

W tym momencie artysta drgnął. Z podświadomości wyłania się wspomnienie pewnego wiosennego wieczoru. Taras willi oświetlony księżycem, niezapomniane uczucie pod wpływem słyszanej pieśni „Dziewczę i śmierć" Schuberta, — odtwórczyni pani Maria, jego wzmianka o ilustracjach do tej pieśni, dyskusja o śmierci, wreszcie zawarcie oryginalnego paktu, o powiadomieniu się o ostatnich chwilach życia ówczesnej trójcy.

Artysta gorączkowo pochyla się nad teczką notatek, i znachodzi list, właśnie od ówczesnego towarzysza dyskusji o śmierci, przyjaciela pani Marii i jego, Zygmunta Warny.

List nadszedł wczoraj, w chwili, kiedy pan Stefan zajęty był pilnowaniem pakowania rzeźby p. t.: „Narodziny talentu".

Odłożył wówczas pocztę i w roztargnieniu zapomniał.

Nerwowo otwiéra dużą kopertę. Wyjmuje kilkustronicowy list, zapisany jakby półkobiecym pismem.

Treść brzmi:

Drogi Stefanie!

Wiem, że trudno skłonić Cię do pisania. Zniechęca mnie to do pisemnego kontaktu z Tobą, aczkolwiek wiesz dobrze, jak ufam Twojej przyjaźni.

Tym razem jednak muszę Cię niepokoić i przystępuję odrazu do rzeczy. Chcę dotrzymać umowy, którą zawarliśmy trzy lata temu, dzięki inicjatywie niezapomnianej dla mnie Marii.

Wiesz, że byłem jej oddanym przyjacielem. Mój podziw dla niej i uczucie, obok którego, mimo gorącego pragnienia miłości przechodziła niespostrzeżenie, nie natchnął mnie jednak taką dozą odwagi, aby samorzutnie zagarnąć na wyłączne moje posiadanie tą subtelną i pełną zapału życia istotę.

Widywaliśmy się często. Słuchałem jej zwierzeń, które nie szły równolegle do moich marzeń. Starałem się odpowiadać jej pojęciu o mnie, bezinteresownego przyjaciela i tłumiłem uczucie z pasją abnegata.

Wiesz, że była sama. Dopisywała się nieraz do moich listów do Ciebie, ale krótkie Twoje odpowiedzi w rodzaju ostatniej, — Wasza pamięć mnie wzrusza, może wkrótce zjedziemy się, piszcie jednak, — nie zachęcała nas do łamania Twojego spokoju, który w świecie swej sztuki zapomniałeś, że życie poza atelier, podróżami i galeriami obrazów, płynie zgoła inaczej.

Maria co prawda też była adeptką sztuki. Nie zaniechała studiów śpiewu i sama go uczyła. Jej dźwięczny alt umilał mi często wspólnie spędzane wieczory.

Pewnego razu jednak zjawiła się z miną zwycięzcy i obwieściła triumfalnie:

— Odnalazłam siebie. Kocham! Czy wiesz co to znaczy? Mój Boże! Ja nie wiedziałby? Ja, który z beznadziejnie ukrytą do niej miłością, drżałem, by się z tym nie zdradzić, bo jej zdziwione spojrzenie lub też obojętne, byłoby niepowetowanym ciosem dla mnie.

Brzmi to melodramatycznie. Wobec faktów. O miłość można walczyć. Ja bałem się. To też byłem niezmiernie zaskoczony jej wyznaniem i osobliwym wyrazem twarzy, gdy spoglądała na mnie badawczo.

Nie mogłem ukryć zmieszania. Ja, człowiek nauki, niezaradny w tego rodzaju sytuacjach, uczułem nagle pustkę i żrącą zazdrość o tego szczęśliwca, który mi odbiera jedyny promyk radości w życiu.

Nie zdobyłem się na proste zapytanie — Kto on?, — lub na życzenia z powodu dokonania wyboru.

Milczenie z mojej strony wyglądało wprost na nieprzyzwoitość.

A Maria? .. Spoważniała. Usiadła i odezwała się tak:

— Ciekawe. Czasami cierpliwość wypowiada nagle posłuszeństwo, i napawa dziką odwagą. Czy wiesz? Od lat podobał mi się bardzo ktoś, kto był filarem mego samotnego życia i wykazał takt, subtelność i oddanie w każdej nadarzającej się sytuacji. Bałam się analizować moje wzrastające uczucie, wobec niewzruszonej powagi wybrańca. Oddałam się sztuce o tyle, o ile mogła ona zapełnić moje pozornie swobodne życie. Czekałam na bodaj najcichszy odzew moich tajnych marzeń. Nie reagowałam na odgłosy serc innych ludzi, bo nie wierzyłam, że szukają człowieka i duszy. Nie mogę jednak dłużej milczeć. Chcę wyzwać los lub umrzeć. Co warta jest walka z sercem, jeżeli ono pokonane napawa nas uczuciem nicości i samoudręczenia?

Słuchałem zdumiony. Więc odczuwa to co ja? Jakaś rozpaczliwa nadzieja targnęła mną. Spojrzałem wymownie w jej rozpłomienione oczy. I nagle zahaczyły się nasze spojrzenia na długo. Były w nich wyznanie i trwoga.

Drogi Boże! Miłość w codziennym życiu jest tak deprawowana, a nawet bezczeszczona, że człowiek dla którego stanowi świętość, boi się jasno spojrzeć prawdzie w twarz. A prawda wyznania była niezaprzeczona.

Ujęliśmy się za ręce. Z nadmiaru wrażeń słowa, których wprost potok cisnął się nam na usta, zamarły. Ale ta niema chwila szczęścia poruszyła nasze głębie. Byłem olśniony. Marii oczy napełniły się łzami i z trudem zapytała.

— Zrozumiałeś?

Nastały cudowne dnie. Rozpatrywaliśmy przeszłość i niedopowiedziane momenty. Chcieliśmy nadrobić stracony czas. Pryzmat szczęścia przesłaniał nam szarą rzeczywistość. Żyliśmy odwieczną starą bajką, która odradza każde głębokie istnienie ludzkie, a której na imię — miłość. Robiliśmy wszystko, aby jak najprędzej być razem.

W ciągu naszych rozmów opowiadała mi Maria dzieje swego udręczonego serca. Umiała przetworzyć niewyznaną miłość przez filtr sztuki, którą kochała równie mocno, szukała zapomnienia w pracy literackiej tłumacząc powieści niemieckie i francuskie.

Nadchodziły jednak noce ubezwładniające bezsennością i wydobywaniem na jaw utajonego w podświadomości cierpienia. Wizja umierającej bez miłości dziewczyny z pieśni Schuberta nachodziła ją nawet we śnie. Ta walka dała w wyniku wadę serca. Każde wzruszenie zmieniało jego rytm, a i teraz, gdy przejrzeliśmy oboje, nadmiar szczęścia hamowany był trwogą śmierci. Czułem się jakby zabójcą. Dręczyła mnie teraz moja niezdecydowana postawa. A jednak, czy mogłem dawniej nadużyć jej zaufania, widząc w spojrzeniu ufność dziecka, świetne opanowanie, rój obojętnie traktowanych wielbicieli i niewzruszoną pogodę ducha?

Dla ludzi biorących fakty życia wprost, jest całkiem normalny naturalny bieg rzeczy. Ludzie oddani nauce są przewrażliwieniu na punkcie osobistego szczęścia, żyją bez dogmatu, z wieczną tęsknotą niespełnionych marzeń. Boją się ucieleśnienia złudy i osiągnięcia najwyższego szczytu, aby nie spadać, lub nie utracić czegoś najdroższego w życiu, co po osiągnięciu wydałoby się mniej drogie. Myślę, że Ty, kapłan sztuki, zrozumiesz mnie. Jesteś także sam.

Nie było właściwie przeszkód do rychłego pobrania się. Przez kwestię zebrania potrzebnych dokumentów przebrnęliśmy bez trudu. Czas ślubu był wyznaczony. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. A jednak. Nie przypuszczałem nigdy, że ówczesna rozmowa o śmierci, pozostawi na niej takie niezatarte piętno. W obliczu zbliżającego się szczęścia, jej chorobliwy lęk przed śmiercią przeszedł w manię. Twoją opowieść „Śmierć na urlopie", pamiętała dosłownie. Proponowany wówczas przez nią pakt, utrwalił w jej pamięci „Memento mori" i nieraz wyznawała mi, że wydaje się jej, jakoby niegodną była dostąpić udziału w uczcie życia, bo śmierć przygotuje jej coś specjalnego.

Powiesz — nerwy. — Tak. Niebacznie wysunięty projekt paktu, przyjęty przez nas humorystycznie, ją opanował i przewrażliwił. Jej nierealny sposób życia pobudzał wyobraźnię, a późno wyzwolone uczucie miłości bało się odwetu.

I nastąpiło tragiczne rozwiązanie. Nie mogę o tym myśleć spokojnie, choć minął dość długi okres czasu.

Nasz ślub. Pomyśl. Wracaliśmy od ołtarza, gdy zaszedł nam drogę ascetycznie wyglądający mnich, o przenikliwym spojrzeniu. Ona drgnęła i mówi:

— Patrz! — On spogląda jak śmierć Memento mori!

Zasłoniłem jej twarz różami. Ktoś przystąpił do nas. Życzenia, rozradowane twarze i ta oszałamiająca atmosfera weselnego zamieszania odwróciła jej uwagę.

A potem, widzisz, nie chcę powtarzać się, sytuacje takie opisywano tysiące razy. Powiem Ci jedno, że to zespolenie twardych wysiłków i zmagań naszego męskiego życia, z uosobieniem kobiecości, jakim była Maria, stworzyło mi raj na ziemi. Tylko jej serce. — Nadmiar wzruszeń i co pewien okres czasu powtarzający się sen, którego treści ujawnić mi nie chciała, wywoływały w niej osobliwe stany i osłabienie serca.

Boję się, że ten nie już list, ale pamiętnik obolałego mego serca znuży Cię. Czuję, że gdybym raz jeszcze wdał się w szczegółowe przeżywanie ostatnich chwil życia Marii, nie skończyłbym listu.

Umarła, jak twierdziła z nadmiaru szczęścia, a według zdania lekarza, na anewryzm serca. Spokój, którego tak pragnęła, królował w ostatnich momentach jej życia.

Przypomniała mi wezwanie z serenady:

„Porzuć, porzuć twe marzenia
pójdź, uściśnij mnie . . .

którego nie zrozumiałem, a którego sens objawiła mi ona.

Są kwiaty, które zakwitają raz i więdną. Poetka mówi:

Leciećbym chciała i nie wrócić więcej.
Raz tylko serce uderza goręcej,
a potem cisza. Wszystko się prześniło
Czym jesteś szczęście? — Mogiłą?

Czy popadam w sentymentalizm?

bajka

Przyjdziesz po mnie na ślicznej szczerozłotej lokomotywie
i zabierzesz mnie na długą podróż: na życie szczęśliwe!

We wagonie — kryształowej kołysce — my dwoje i miłość trzecia
będziemy jeździć . . . jeździć . . . po nieznanym nikomu świecie . . .

Tęczowe ample rozpłoną naprzekór księżycowym poświatom,
a pociąg będzie mknął za księżycem jazdą szaloną i skrzydlatą . . .

Pojedziemy z wolnymi rękami: zostawimy ciężkie bagaże
bolesnych wspomnień i minionych przesmutnych zdarzeń,

a wszystko kupimy nowe na roziluminowanych stacjach
gdzie każda sekunda podróżnych w ogromne szczęście wzbogaca.

Sleepingiem będą mi twe ciepłe ramiona. Najciszej
usnę w nich, zmęczona szczęściem . . . a stukot kół mnie ukołysze.

Przesrebrne taśmy — szyny — które się nigdzie nie kończą
powiozą złoty pociąg w krainę twymi oczyma kwitnącą.

Mary A. Hessel

Na prośbę autorki zawiadamiamy naszych czytelników, że powieść M. A. Hessel p. t. „Meteory" kończy definitywnie część III, która jest w opracowaniu

Redakcja

Pamiętasz, jak w nasz postny wieczór dowodziłem, że niewspółmierność siły przywiązania i miłości do zrozumienia, że właśnie dla tych, którzy pomarli nastąpił początek szczęścia, pozwala poznać dopiero ogrom bólu osób dotkniętych stratą bliskich, i wspominałem wtedy o towarzystwie eutanazji, nie przeczuwając, że tak niedługo będę właściwym kandydatem sam.

Życie jest równaniem o wielu niewiadomych, w ostatecznym wyniku jednak daje zawsze śmierć.

Ostatnią prośbą Marii było:

— Nie załam się. Przyjdziesz i Ty.

Tak. Chcę wierzyć, że nastąpił dla niej początek innego szczęścia, i, że to przeświadczenie umożliwi mi samotną dalszą wędrówkę w świecie. Piszę tylko do Ciebie. Jakby pod wpływem wewnętrznego nakazu. Jej testament niespełniony. Pozostaliśmy dwaj, z dewizą „Memento mori".

Odgradzam się od świata na jakiś czas. Ty wiesz, gdzie mnie szukać. Proszę Cię jednak, nie rób tego zbyt szybko

Twój
Zygmunt

•

Wczesny ranek zastał artystę w pracowni. Szkicował projekt rzeźby.

Na wyniosłym postumencie stoi zwiewna postać kobieca o rysach Marii, z rozjaśnioną twarzą, o kilka stopni niżej złamany bólem mężczyzna przybliża się do grupy lekarzy-badaczy. Zwróceni są oni twarzą ku dalekiej, drobnej postaci śmierci z kosą, która na tle fragmentu cmentarza, rozgląda się za ofiarami. Tytuł projektowanej rzeźby: „Walka o życie".

Przez szereg tygodni artysta pracował zapamiętale. Gdy wreszcie wykonał ostatnie dotknięcie rzeźby, spojrzał zadowolony na swoje dzieło. Było naprawdę wspaniałe i głębokie w treści. Mieściło w sobie momenty poruszone w liście Zygmunta. Szczęście Marii w zaświatach, trud śmierci, jej wpływ na dotkniętego stratą drogiej osoby człowieka i energię kadry lekarzy, walczących o przydłużenie życia. Pod wpływem ich prostuje się przybity nieszczęściem osamotniony mąż, jakby w poczuciu solidarności walki. Artysta polecił zapakować rzeźbę i dołączył krótki list:

Drogi Zygmuncie!

W myśl Twojej prośby uszanowałem ciszę Twego i mego bólu. By dać wyraz pamięci Tobie i Marii, przesyłam Ci dzieło ostatnich tygodni pt.: „Walka o życie". Nie wszystko jest znikome na świecie. Bądź dzielny w tej walce, mając na uwadze dobro innych. W razie potrzeby licz zawsze na mnie. Najwięcej ucieszyłoby mnie nasze spotkanie, ale o tym zadecyduj Ty sam.

Zawsze oddany
Stefan

Nazajutrz rzeźba została odesłana pod adresem pana Zygmunta.

•

Dnia 14 maja 1937 roku podały dzienniki następującą wiadomość:

NIEZWYKŁY ZGON

Pięć dni temu poniósł tragiczną śmierć w jednym z jezior Wileńszczyzny znany geograf i geolog p. Zygmunt Warna.

Wymieniony wybrał się jak corocznie na dłuższą wycieczkę, tym razem po kraju, na północno-wschodnie kresy. Jak nam donoszą, śp. p. Z. Warna zwiedzał między innymi niedawno odkryte pogańskie cmentarze z XI w. w okolicy Czerniewicz. Następnie udał się pieszo na wycieczkę do jeziora odległego o 18 km. Droga z początku romantyczna, w odległości 4 km od celu była bardzo trudna. Prowadziła bowiem po ściętych i oślizłych od wilgoci drzewach, ułożonych tak wąsko obok siebie, że szło się w górę. W pewnym miejscu p. Warna nadwyrężył sobie nogę, upadłszy między sękate pnie.

Doszedł jednak do wspaniałego jeziora, będącego celem wycieczki. Na miejscu zastał przyholowaną swoistą łódź przy brzegu, w którą wsiadł, płynąc po falującej toni, ku rybakom na środku jeziora. Nie mając specjalnej wprawy w kierowaniu tego rodzaju łodzią, prowadził ją z trudem ku nieznanym uczestnikom rybackiej wyprawy.

Nagle pod wpływem potężniejszej fali, łódź zmieniła raptownie kierunek. P. Warna opadł na dno i zapewne pod wpływem bólu w świeżo nadwyrężonej nodze, wypuścił z rąk wiosła, które odpłynęły. Nim zdążyły przyjść z pomocą obie rybackie łodzie, poprzednia płynąca bez steru przewróciła się w kręgu silnego wiru i długo trwały poszukiwania za zatopionym uczonym. Znaleziono go po dwóch godzinach, nie zdołano jednak doprowadzić do przytomności.

Zmarły odbył wycieczkę sam. Znalezione dokumenty zawierały prócz dowodu osobistego i notatek, listy artysty rzeźbiarza Stefana Arpińskiego, fotografię zmarłej przed 10 laty żony, oraz zdjęcie rzeźby pt. „Walka o życie".

Należy podkreślić zasługi zmarłego tak w dziedzinie kartografii, jak i geologii naftowej.

Ś. p. Zygmunt Warna odznaczał się nieskazitelnym charakterem i niezwykłą pracowitością. W życiu prywatnym wykazywał wielkie umiłowanie muzyki. Specjalnie przywiązany był do bawiącego ostatnio zagranicą artysty Arpińskiego, z którym pozostawał w stałym kontakcie.

Wobec tego, że po śmierci żony zmarły nie posiadał bliższej rodziny, pogrzeb jego odbył się na dalekich kresach, na miejscowym cmentarzu. Zmarły liczył lat 46.

W myśl pisemnego życzenia, spadkobiercą pozostałych ruchomości zostaje artysta rzeźbiarz Arpiński.

— — — —

Notarialne zawiadomienie rzeźbiarza Arpińskiego o spadku po śp. Zygmuncie Warnie, nadeszło w 3 dni po zgonie rzeźbiarza w Rzymie. Jak stwierdzają świadkowie, artysta objawiający ostatnio skłonność do mistycyzmu, dnia tego czuł się wyjątkowo nierealnie. Zmarł on w chwili wsiadania do samolotu, którym miał wrócić do kraju. Prawdopodobnie radość z powrotu, zniweczona wiadomością o niezwykłej śmierci przyjaciela, spowodowały konflikt duchowy, który skończył się atakiem serca, powodując tym razem podróż w zaświaty.

Ostatnie słowa w przebłysku krótkiej świadomości były niezrozumiałe dla otoczenia. My jednak rozumiemy ich sens.

Brzmiały one:

Mario! — Twój pakt rozwiązany.

W ZACZAROWANYM ŚWIECIE MOZAIKI

Dokończenie

renesans w ujęciu mistrzów z Florencji, jako tzw. mozaika intarsyjna, czyli kombinowana z połączenia w całość różnego materiału, wydaje wysokiej wartości artystycznej utwory dekoracyjne, jak np. podłoga w katedrze sieneńskiej.

W szczytowym rozkwicie renesansu wstępuje mozaika dekoracji „al fresco", — czyli „malowaniu na świeżo", polegającym na nałożeniu farb mineralnych na mokre jeszcze wapno ścian, co jest sposobem bardzo trwałym, z uwagi na jednoczesne krystalizowanie się mokrego wapna z położonym nań malowidłem. Po upływie pewnego czasu wraca do gustu artystów mozaika znowu, biorąc tym razem za swój materiał masę perłową, kamienie pół-szlachetne i k o r a l e, a zdobnictwo tego gatunku idzie zwłaszcza w upiększaniu stołów, hołdując motywom liści, owoców, kwiatów itp.

W międzyczasie mozaika bizantyńska przechodzi do Arabii i Hiszpanii, gdzie stosuje się najczęściej kamyczki glazurowane

Na Wschodzie służyła mozaika do dekoracji ornamentacyjnej przede wszystkim.

Wiek XIX jest okresem renowacji mozaikarstwa we Wenecji i w Niemczech oraz niektórych krajach północnych, a technika robót mozaikowych ulega zmianie. Dzisiaj układa się mozaikę z kawałków w pracowni, na gotowy obraz nakleja się papier, następnie kraje całą powierzchnię na kawałki, numeruje się te ostatnie, po czym każdą część numerowaną wciska się w świeżą zaprawę ściany. Gdy zaprawa po pewnym czasie wyschnie, odmiękcza się i zmywa papier i mozaika jest gotowa.

Jako nader trwały elaborat artystyczny ma mozaika zasłużoną sławę w świecie, dawne zaś jej pochodzenie przydaje jej godności jako sztuce z tradycją, wykwitłej na tle pochodu ludzkości ku pięknu.

Stef. Krasiński

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

RYCERZ XX WIEKU

Oślepiający błysk elektrycznej latarki zbudził ją z pierwszego snu. Otworzyła szeroko powieki, a serce zatłukło się w niej.

Bandyci.

A było ich pięciu.

Twarze tych ludzi były niewidzialne. Pozostawały ukryte w głębokich mrokach pokoju, lecz pięć luf rewolwerowych skierowanych było w stronę jej głowy.

Machinalnie, bezmyślnie podciągnęła kołdrę. Miała obnażone ramiona i piersi.

Przyśpieszony z emocji oddech poruszał złocistemi lokami, rozsypującemi się w nieładzie wokoło jej pobladłych z przerażenia policzków.

Rzuciła niespokojnym okiem na stojące tuż, tuż przy jej posłaniu białe łóżeczko Alinki i wyjąkała błagalnym głosem:

— Nie krzywdźcie mi dziecka!

— My dzieci nie krzywdzim — odpowiedział jej jeden z bandytów jakimś niskim nieco ochrypłym głosem.

I spytał po chwili:

— Czy jest tu kto więcej, w tym pokoju, prócz pani i dziecka?

— Niema.

— No to poproszę panią nie ruszać się z pościeli i leżeć sobie wygodnie. Dziecka nie zbudzimy. Przeszukamy pokój i pójdziemy sobie...

I rzekł do swych towarzyszy:

— No chłopcy! Schowajcie broń do kieszeni. Dosyć już tego. Nie należy tak straszyć tej pani.

Te słowa, wypowiedziane coś jakby z pewną żartobliwą intonacją ośmieliły nieco panią Renę.

— Więc czego panowie tu chcą? — spytała.

— Pieniędzy.

— Ja nie mam pieniędzy. Ot kilka złotówek. Przyjechałam tu na wieś do krewnych bez grosza i żyję w tym dworze z ich łaski!

— Zobaczy się!

I przyświecając sobie latarkami zabrali się do przetrząsania rzeczy i plądrowania po szufladach i szafach.

Jednakże, co chwila, jakby dla sprawdzenia czy pani Rena nie zamierza powstać z pościeli, oślepiające światło kierowane było na nią.

Drżąca i niezaradna siedziała w osłupieniu na swym łóżku. Nie zamierzała powstawać. Zdawało się jej, że nie potrafiła by się ruszyć. Była jakby sparaliżowana. Oburzenie i bezsilna złość na takie bezprawie malowały się w jej ciemnych źrenicach.

Na stoliczku, opodal śpiącej Alinki, leżała jej złota ślubna obrączka, lecz w chwili gdy jakaś ogromna czerwona łapa, oświecona elektrycznością, wyciągnęła się po nią, tenże sam niski, lekko ochrypły głos męski zaprotestował:

— Zostaw to, bracie! To nie ma dużej wartości, a tej pani pewno zależy na tej obrączce...

No i po kilku, czy kilkunastu minutach, które wydały się wiekiem pani Renie, bandyci ruszyli do drzwi.

— Smacznego snu — zadrwił niski ochrypły głos bandyty.

Poszli.

Minęło kilka dni.

Pierwsze podniecenie wywołane niezwykłym najściem bandytów przygasało stopniowo. Wszyscy we dworze równoważyli się po trochu. Przestano obliczać straty i wymieniać brakującą garderobę. Przestano komentować nieprzyjemną nocną wizytę.

Trudno. Ludzie mają dziwny dar otrząskiwania się nawet z najgorszym.

Pani Rena — zarżowiona i uśmiechnięta — twierdziła z całym przekonaniem, że wcale nie była wystraszona.

— Byli dla mnie grzeczni, uprzejmi i właściwie żadnej krzywdy mi nie zrobili — mówiła. — Pieniędzy u mnie nie było, a moimi gałgankami wzgardzili. Bo i na cóż mieliby się łakomić? Ot, posiadam na całym majątku tych kilka, dobrze już podniszczonych, różowych jedwabnych kombinacji i tych parę letnich sukienek i pantofelków.

Klap, klap, klap — wystukując drewniaczkami jakiegoś skocznego oberka, kręciła się jak fryga po pokoju. Zabawiała swą małą czteroletnią Alinkę. — Hopsaj dana! Hopsaj dana! — podśpiewywała klaszcząc w dłonie.

Po obiedzie, a było pogodne czerwcowe popołudnie, gdy dwaj sąsiedzi zajechali z wizytą, wyniesiono stolik do kart na werandę.

— Do bridge'a! Do bridge'a! — zapraszał gospodarz.

— Ale z panią Reną. Inaczej nie siadam — upierał się jeden z przyjezdnych panów.

— Przecież gram jak noga — śmiała się zagadnięta. — Sam mi pan to powiedział zeszłej niedzieli!

— Być może! Nie pamiętam, ale z panią przyjemniej...

Rozdano karty i wkrótce z całym zapamiętaniem oddano się kombinacjom bridge'owym, gdy oto nagle — z poza pobliskiego klombu — wypadł jakiś fantastycznie odziany młody mężczyzna z kędziorkowatą bujną czupryną i z rewolwerem w dłoni.

— Ręce do góry!

— Co? Znowu bandyci — jęknął pan domu, ciskając na stół swe karty.

— Ja nie bandyta — zabrzmiała odpowiedź.

— Więc kimżeż pan jest?

— Czyś pan nigdy nie słyszał o błędnych rycerzach? Ja jestem właśnie takim błędnym rycerzem i przychodzę tutaj nie w celach rabunkowych, a w celach zbawczych...

Cóż za jakaś pompatyczna figura. Pomimo woli wszyscy uśmiechnęli się.

— A kogóż zbawiać pan tu zamierza z tym rewolwerem w garści?

— Tę oto panią — odpowiedział zagadnięty, wskazując dłonią na panią Renę.

Drgnęła. Ten głos...

Ten niski nieco ochrypły głos wydał się jej znajomym.

— A cóż jej grozi — indagował dalej pan domu.

— Śmierć. Wyrok śmierci został na nią podpisany przez bandytów, a ja, dowiadując się o tym przypadkowo, postanowiłem ją ocalić!

— Piękna to rola zaiste — zadrwił jeden z gości. — Ale pozwoli pan, że dopóki ten oto rewolwer skierowany będzie na nasze skronie, wolno nam powątpiewać w prawdę pańskich słów!

Momentalnie nieznajomy mężczyzna schował broń do kieszeni i rzekł:

— No dobrze, a więc broń już schowałem, a nawet na dowód prawdy mych słów gotów jestem wręczyć ten mój rewolwer jednemu z panów i pozostać bezbronnym. Ale ostrzegam, że nie przyszedłem tutaj żartować. Ta pani — i znowu wskazał na Renę — ma być sprzątnięta z tego świata w przeciągu tygodnia...

— Za co? — wy'wał się młodej kobiecie okrzyk przerażenia i odruchowo zerwała się na nogi.

— Nie wiem. To jest tajemnicą szajki bandytów. Ale chyba wszyscy tutaj wiedzą, że takie wyroki, to nie przelewki. Bandyci zawsze znajdują czas i sposobność do wykonania swych postanowień...

— Czyż tak? Więc w jakiż sposób zamierza pan temu przeszkodzić?

Nieznajomy zawahał się chwilę.

— Ta pani, ta osoba — bąkał niewyraźnie pod nosem — musi mi napisać, a może lepiej podpisać pewien dokument. Pewien bardzo ważny dokument. Ale więcej mówić nie mogę, gdyż to jest wielka, wielka tajemnica...

— Do kroćset par diabłów — palnął gospodarz ręką w stół. — Kpiny, czy co? Wszystko u was jest tajemnicą. Przecież widzę, z tej całej pana gadaniny, że pan sam nie wie czego pan chce od tej pani i od nas.

Na te słowa ów błędny rycerz nachmurzył się groźnie i sięgnął do kieszeni.

— A więc tak — wykrzyknął, dobywając rewolwer. — A czy państwo wiedzą, że na jedno skinienie mego małego palca uzbrojeni ludzie, w liczbie piętnastu, wypadną z poza klombów i rozniosą ten dom na proch. Drwić sobie ze mnie nie pozwalam, a także radzę nie lekceważyć sobie mych słów i mej osoby.

— Więc cóż mamy robić?

— Niechaj ta pani — i znowu wskazał na Renę — przejdzie się ze mną po ogrodzie, a dowie się o wszystkim!

Odruchowo wzrok wszystkich skierował się na nią.

Z ręką przyciśniętą do walącego jej młotem w piersiach serca, przysłuchiwała się, ze zgrozą, tej całej rozmowie.

Zdawała sobie sprawę, że grozi jej jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Może szantaż, a może istotnie wyrok śmierci. Ale za co? Sprawa była mocno niejasna. Może chodzi tu o jej dziecko, które bandyci zamierzają uprowadzić w razie nie złożenia pewnej wysokiej sumy. W duchu zaczęła obliczać wartość swojej biżuterii.

Wreszcie wstała zdecydowanie.

Blada jak ściana i słaniając się na nogach ruszyła od karcianego stołu.

— Gotowa jestem — wybełkotała.

— Mamusiu! Mamusiu! — wrzasnęła przeraźliwym głosem mała Alinka, czepiając się konwulsyjnie matczynej sukni. Wyczuła, czy też zrozumiała, że dzieje się tutaj coś strasznego.

Ale pani Rena, drżącą dłonią, odsunęła dziecko od siebie i wkrótce znikła z oczów — wraz ze swym obrońcą, czy napastnikiem — w cienistej lipowej alei.

•

Przez dłuższy czas szli obok siebie w milczeniu.

Nagle, przy skręcie alei, ów tajemniczy mężczyzna położył ciężką dłoń na ramieniu młodej kobiety.

— Pani — wybełkotał. — Czy pani mnie nie poznała?

— Poznałam. Poznałam pana po głosie. Pan jest bandytą. Zeszłego tygodnia pan był tutaj, w tym dworze, z bandytami. A czegóż pan teraz chce?

— Czego ja chcę?

I nagle schwycił ją w ramiona.

— Ot czego chcę! Chcę wyznać pani, że od chwili gdy ją ujrzałem przy blasku mej elektrycznej latarki, zapomnieć pani nie mogę. Dniem i nocą myślę tylko o niej.

Wyrwała się z jego uścisku.

— Oszalał pan.

— Oszalałem! Tak, tak! Oszalałem istotnie. Kocham cię do obłędu.

— A ten wyrok śmierci?

— Zmyślony. Wszystko zmyśliłem. Szukałem poprostu sposobu dostania się tutaj i wymuszenia na pani tego oto sam na sam.

I z miną zadowolonego z siebie lowelasa przygładził dłonią swą kędziorkowatą czupryne i dodał:

— A teraz...

•

I na cóż tu czekać?

Przez całą noc pani Rena z gorączkowym pośpiechem pakowała swoje walizki, a o świcie, ze śpiącą Alinką na ręku, wsiadała do pociągu na najbliższej stacji kolejowej.

Uciekała, na złamany łeb, od tej tak dziwacznej i niebezpiecznej sytuacji.

Napisał „Hazel"

DWIE NOCE

Noc. Cicha, tajemnicza noc pustyni. Na czarno-granatowym niebie iskrzą się złote gwiazdy. Srebrna, okrągła tarcza księżyca lśni zalewając ziemię swą dziwną, seledynową poświatą. Wkoło cisza i spokój senny: śpi białe morze piasku, nieruchome powietrze... Taka dziwna, tajemnicza noc... Wszystko zastygłe w oczekiwaniu czegoś... ale czego?... — Powoli, kołysząc się rytmicznie na swym długich nogach idą naprzód wielbłądy. I posuwa się zwolna, majestatyczne karawana... Idzie w ciemną, nieznaną przyszłość nocy... „Yallal Yalla!" wdziera się w ciszę raz po raz zawodzące nawoływanie Arabów, popędzających wielbłądy. A potem znowu cicho...

...Czarniejsze niż noc pustynna, a bardziej błyszczące niż gwiazdy — płoną ogromne, piękne oczy młodej Arabki. Miarowo, rytmicznie kołysze się w ramionach mężczyzny, który mocno, gorąco przytula do siebie jej smukłą, śliczną postać. Jadą na jednym wielbłądzie. Dziewczyna opiera głowę o jego ramię. Młody oficer francuski przytula ją do siebie. Od czasu do czasu tylko padają przyciszone słowa:

— Dobrze Ci, Zibelda?...

— Z tobą Richard zawsze jest dobrze. — Drżące, purpurowe wargi dziewczyny uśmiechają się do niego.

Księżyc pieści ich srebrnymi promieniami, wysrebrzając ich wspólną miłość, szczęście... W czarnych źrenicach dziewczyny zapalają się tajemnicze, pociągające ogniki; oczy mężczyzny płoną pożądaniem i rozmarzeniem zarazem. Upaja ich piękna, tajemnicza noc, wzajemna bliskość; dziwny, rozkoszny dreszcz przenika ciało dziewczyny; przymyka z rozkoszą oczy opierając się o silne ramiona mężczyzny. Jest przy nim taka maleńka...

...A karawana zwolna posuwa się naprzód w dal nieznaną, w tę ciemną noc wysrebrzoną księżycem, w tajemniczą noc pustyni... Czar dziwny... coś pociąga ku sobie... coś nieznanego... Tak cicho... tak bardzo cicho w około... Ktoś szepce, ktoś mówi słodkie, melodyjne słowa... Czyjś głos płynie jak po srebrnych promieniach księżyca... Nie trzeba myśleć: kto to?... Bo to miłość, i srebrna Selene, i złote gwiazdy i noc... taka dziwna, cudowna noc...

...Zibelda patrzy: Arabowie w swych powłóczystych, białych szatach schodzą z wielbłądów i stając twarzą ku wschodowi podnoszą ręce, a z ust wraz z pokłonem wybiegają słowa: „Allah! Akbar Allah... Allah, który stworzył taki piękny świat, srebrną Selene i złote gwiazdy na czarnym płaszczu królowej nocy..."

I jednostajny szmer modlitwy powtarzają senne, liliowe piaski... „Allah jest wielki..." szepce pustynia otulona ciemnymi skrzydłami tej tajemniczej nocy... Księżyc i gwiazdy płyną po niebie, z pobłażliwym uśmiechem spoglądając na uśpioną ziemię, na białą karawanę zabłąkaną samotnie wśród pustyni... Dla kogo chowają swą niezgłębioną tajemnicę księżycową?...

•

I właśnie ta cicha, cudna noc arabska była ich ostatnią wspólną nocą, — nocą pożegnania... Niósł ich jeden wielbłąd ku przeznaczeniu, ku strasznej, okrutnej chwili rozstania... Zibelda drżała całym ciałem tuląc się trwożnie do niego, bo oto każdy krok, każda nielitościwie upływająca sekunda zbliżała ją do tej chwili...

— Richard, weź mnie z sobą... zabierz mnie, nie zostawiaj tu samej! Ja się boję... i cóż zresztą będę robiła bez ciebie?!... — szeptała trwożnie zbielałymi wargami. Bała się tego rozstania, bała się tak bardzo...

— Nie mogę, malutka, wiesz przecież, że nie mogę. Jadę daleko, — tęskniłabyś do swojej ojczyzny w obcym, nieznanym kraju. Może nie zobaczyłabyś już nigdy twej słonecznej Arabii.

— Jakto, Richard, nie rozumiem Cię!... — woła z przerażeniem Zibelda, — czy ty już nie wrócisz do mnie nigdy, czy nie chcesz już twojej Zibeldy? — Pełne przerażenia oczy utkwione są w jego twarzy.

— Wrócę, wrócę — mówi Richard, ale głos jego brzmi tak mało przekonywująco. Zibelda już milczy, już o nic nie pyta, bo wie, że Richard nie myśli już o niej, lecz o tej innej, nieznanej, która go czeka w jego ojczyźnie. Zibelda nie nienawidzi go za to, nie czuje nic, — jest dziwnie otępiała w swym bólu. Biernie przyjmuje pieszczoty Richarda...

Wielbłąd stanął wstrzymany mocną, pewną ręką. Richard schodzi, a potem zdejmuje Zibeldę. Zanim postawił ją na piasku tuli chwilę w objęciach. Zibelda otacza jego szyję ramionami... ostatni pocałunek...

— Będziesz o mnie pamiętać, maleńka?

— Ja... tak, zawsze. Ja cię nigdy nie zapomnę...! — spoglądają ku niemu ogromne czarne oczy pełne żałosnego wyrzutu. Richard nie może patrzeć w te oczy; odwraca głowę i w milczeniu stawia dziewczynę na ziemi. Zibelda stoi bez ruchu i patrzy jak Richard wsiada znowu na swego wielbłąda. A potem pyta nagle dziwnym, jakby obcym głosem:

— Czy wrócisz do mnie Richard?

— Wrócę! — mówi cicho... Odpowiedzi jego nie słyszy nikt, — tylko Zibelda i złote gwiazdy, które przyglądają się im z granatowego nieba, i niezmierzone morze piasku...

Już odjechał... Ucichł w oddali tętent wielbłąda. I teraz tak cicho dokoła... tak przeraźliwie cicho... Ciemna, bezksiężycowa noc, którą rozświetlają tylko złote, płonące gwiazdy uroczej nocy arabskiej... Zibelda wyciąga ramiona i z cichym jękiem osuwa się na kolana. Pochyla się i całuje ślady stóp wielbłąda, a potem wstaje i milcząca, tajemnicza, biała jak duch idzie przed siebie... Owiewa ją litościwy, gorący wiatr, który przesypuje piasek z miejsca na miejsce, powoli, nieubłaganie zaciera ślady, pozostawiając wszystko w otchłani zapomnienia...

Izabella Belka

Chyba nie ma piękniejszego zakątka

Chyba nie ma piękniejszego zakątka na świecie,
takiej ciszy i powietrza, co zdrowie utrwala —
i cudniejszych okolic nigdzie nie znajdziecie,
jak tutaj, w Zakopanem, w dolinie Podhala!

Kędy spojrzysz — dokoła gór tatrzańskich szczyty!
a każdy ma swój urok i oko zachwyca:
tutaj Giewont najczęściej w mgły srebrne spowity;
dalej — Czerwone Wierchy, Krokiew i Świnica!

a tam — Kopa Magury z grotą pośród wnętrza
i Granaty z Koszystą! Krzyżne śród przełęczy!
Na północ — Gubałówka ku niebu się spiętrza —

a wszystko, zda się, razem jakby pieśnią dźwięczy,
niby hymnem uwielbienia i szczęściem nieznanym,
że żyć i kochać można tylko w Zakopanem!...

E. Kloniecki



ZE SCEN I ESTRAD

Na lewo:
Jadwiga Lachetówna śpiewa z towarzyszeniem orkiestry pod dyr. A. Dołżyckiego „Gdyby rannym słonkiem" Moniuszki.

Na prawo:
M. Karasińska, K. Rydel, K. Fabisiak i Ursynówna w komedii p. t. „Milionerka" wystawianej w Starym Teatrze w Krakowie.



KONCERT ORKIESTRY POD DYR. A. DOŁŻYCKIEGO W HALI FABRYCZNEJ

Jest południe.

Przed fabryką „Steyer, Daimler, Puch" przy ul. Dworskiej stoi spora grupka kobiet i mężczyzn i żywo o czymś rozmawia. Zatrzymujemy się na chwilę, aby dowiedzieć się o co im chodzi, lub co się tu stało.

Okazuje się, że dziś w fabryce odbędzie się koncert dla pracowników.

— Dołżycki będzie grać — informuje nas jakiś starszy pan. Teraz mam urlop dwutygodniowy i jestem z żoną na urlopie pod Warszawą, ale dziś przyjechałem specjalnie do fabryki, aby być na koncercie. Kocham muzyki jest w fabryce bardzo wielu, dlatego do Lardellego lub Loursa. Takich miłośników muzyki jest wafrbyce bardzo wielu, dlatego to z wielkim zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość, ze dziś dyrekcja urządza nam koncert.

— O jadą, jadą już! — mówi jakaś panienka.

To członkowie orkiestry Dołżyckiego wjechali dużym samochodem na teren fabryki. Udajemy się za nimi. W dużej hali remontu maszyn, na dopiero co wzniesionej estradzie przybranej kwiatami i zielenią, zajmuje miejsce orkiestra, składająca się z 36 osób. Obok pulpitu dyrygenta p. Dołżyckiego widzimy znakomitego skrzypka i wirtuoza prof. Wacława Niemczyka.

Na hali szumi jak w ulu. To nieprzerwaną falą płyną pracownicy fabryki w roboczych kombinezonach i płaszczach. Wydaje się, że hala nie pomieści ich wszystkich (2700 osób).

Punktualnie o godz. 12[30] p. Dołżycki zapowiada rozpoczęcie koncertu. Gwar milknie. Rozbrzmiewa zaś piękna uwertura z opery „Halka" Moniuszki. Gdy po kilkunastu minutach orkiestra kończy grać utwór, zrywają się spontaniczne brawa płynące z pod stropu hali maszyn i dźwigów, gdzie umieścili się z powodu braku miejsc pracownicy.

Przeszło półtorej godziny trwający program zawierał: „Nokturn" Szopena i „Fantazję" z Fausta (Niemczyk — skrzypce), „Gdyby rannym słonkiem" (Lachetówna — śpiew), „Opowieści z lasku wiedeńskiego" Straussa, „Mazur" z „Halki" w wykonaniu orkiestry pod dyr. A. Dołżyckiego.

Jak zauważyć można było z min i niemilknących oklasków słuchaczy, koncert ten pozostanie na długo w pamięci pracowników firmy „Steyer, Daimler, Puch" jako prawdziwe przeżycie artystyczne. **z. b.**

STARY TEATR: „MILIONERKA"

Najważniejszem jest to, że siedząc w teatrze na premierze tej komedii, zakrawającej chwilami na wesołą groteskę, z zabawnymi sytuacjami — cudownie się wypoczywa. Nie ma w niej bowiem tematu, który nadawałby się do poważnego zgłębienia, nie ma prawdziwych dramatów życiowych, bo te, które tu są, to urojone nieszczęścia i zawody. Nie ma w niej tarć dyskusyjnych. Natomiast jest dużo, bardzo dużo słońca, jako że akcja rozgrywa się w słonecznej Italii i ze słońce to ma jaskrawe, czerwone refleksy, zwłaszcza przy zachodzie, gdy układa się do snu.

W czerwonych refleksach zachodzącego słońca czerpie natchnienie „młody, przystojny, wolny(!)" malarz — tak go określają jego adoratorki — i w czerwonych refleksach słońca rodzi się miłość aż dwóch mężczyzn ku „egzotycznej kuzynce".

Groteskowość w tej komedii polega na zabawnym „kontredansie z figurami": „Zmiana dam" — „Damy wracają do swoich danserów"! A że w końcowej figurze jest o jednego tancerza za dużo — to drobiazg. „Jesteśmy znów we troje" — mówi poczciwy, przysłowiowo ślepy mąż-rogacz, zadowolony z siebie i z losu.

„Egzotyczna kuzynka z milionami" spada jak grom z jasnego nieba w wygodne zacisze, zgodnego trójkąta i robi przez chwilę zamieszanie swoją osobą. Ale tylko przez chwilę, bo, jak powiedziano wyżej — „damy wracają na miejsca kontredansowe, do swoich danserów".

Panna Ursynówna dużej miary aktorka, w tytułowej roli odrazu wpada w odpowiedni ton i utrzymuje się na tym poziomie do końca. Widocznie rola odpowiada jej w zupełności. Wzywa się więc w nią. „Egzotyczna kuzynka", objechawszy świat trzykrotnie, ma za sobą wrażenia erotyczne, ale tylko wrażenia. Tu mimo woli zaplątała się w pajęczą nić miłosną. To jej się zdarza po raz pierwszy. Wyobraża sobie więc, że to jest miłość, ale gdy zwycięża rywalka, szybko wyplątuje się z tych nikłych więzów i — zakląwszy po męsku — odchodzi.

Inteligentna artystka zorientowała się, że to nie dramat, że to zaledwie krótki moment dramatyczny i dlatego nie zgrywa się w tej scenie — robi ją z umiarem, całkiem dobrze.

Pan Fabisiak potrafi — wiemy to dobrze — jak niewielu aktorów, zręcznie lawirować pomiędzy komedią a groteską i nie wpadać w szarżę, o co nie trudno. Jego poczciwy rogacz, domator i — z nudów — kiepski literat, jest wzruszająco niedołężnym amantem, zdobywcą, zwłaszcza tak obszernego serca, jakie posiada „egzotyczna kuzynka".

Gdy więc spada na niego, jak dopust Boży, afekt ku tej niewieście, poddaje się łatwo losowi, który go wyzwala od niej i z rozkoszą wkłada z powrotem wygodne, wydeptane domowe pantofle.

Utalentowany artysta dał skończenie dobry, właściwie zrozumiany i dobrze ujęty typ Agenora Buzelli.

Z wdziękiem i wyrafinowaniem okłamującą go żoneczką — była p. Nina Karasińska. Ta zdolna artystka ma idealne warunki do tej roli, przymilnej żony-koteczki i frapującej kochanki.

Powab, wdzięk, duża doza przyjemnej kokieterii, przy ujmującej aparycji — składają się na zewnętrzne walory aktorskie p. Karasińskiej. Jej gra jest opanowana, naturalna, przy dużej swobodzie ruchów i obycia ze sceną. Ma przy tym miły, pieszczotliwie brzmiący miękki głos.

Pan Rydel w roli wytwornego malarza był badzo na miejscu. Najwidoczniej w czerwonych refleksach słońca Italii rozgrzał się i wyzbył się sztywności w scenach afektu, jaka dotychczas tamowała jego ruchy. Mając do wyboru aż dwie powabne niewiasty, z powodzeniem je uwodził.

Reżyseria p. Fabisiaka bardzo staranna.

Efektowne dekoracje sprawiają nader przyjemne wrażenie. Okazuje się, że jednak tego lekceważyć nie powinno się.

Nieodpowiednia dekoracja albo w ogóle brak jej, bezładne ustawianie paru krzeseł i zniszczonych waliz — przy szumnym napisie: „Willa barona X" albo „Gabinet zamożnego pana Y" stanowczo nie przyczynia się do podniesienia wartości spektaklu. **J. L.**

Teatr **„KOMEDIA"** wystawił trzyaktową sztukę Bus-Fekete'go pt. „Z miłości niedostatecznie". To „niedostatecznie" otrzymują trzy młode kobiety wymagające zupełnie czego innego od t. zw. miłości, niż to, co im zsyła los. Wprawdzie spełniają się ich marzenia i wszystkie zdobywają to, czego pragnęły, a więc Jasia bogatego przyjaciela, Ania kochającego ją męża lekarza, a Frania sklep z kapeluszami, mimo to żadna z nich nie znajdzie zapewne pełnego szczęścia o jakim śniła.

Sztuka jest napisana żywo i ciekawie i posiada sporo momentów dramatycznych doskonale zaakcentowanych przez Janinę Piaskowską i młodą bardzo zdolną aktorkę Władysławę Nawrocką. Przekonywująco i z dużym uczuciem nakreśliła postać Frani Hanna Libicka. Lżejszy i weselszy charakter sztuce nadał Zbigniew Rakowiecki jako Seewald. Stanisław Daniłłowicz w roli nieporadnego lekarza Rudolfa może służyć za wzór dla niejednego aktora o znanym nazwisku, jak należy grać z poczuciem humoru, nieprzeszarżowując jednocześnie, co niestety tak często dziś obserwujemy.

Pozostałe role tak jak należało zagrali: J. Węgrzyn, R. Kierczyński, S. Jaworski, J. Łuszczewski i M. Dąbrowska.

Dyrektor Zdzitowiecki przerobił znaną operetkę „Skowronek" Lehara i wystawił ją w **„MASCE"** jako „historię romantyczną" p. t. „Serce słowika". Jeśli mowa o słowiku, to oczywiście musi nim być nie kto inny, tylko Lucyna Szczepańska. Jej pięknych arii, jak zwykle, słuchaliśmy z największą przyjemnością. Partnerami słowika byli: N. Czerska (b. dobra w roli artystki rewiowej), W. Orzechowska, F. F. Szczepański, T. Chmielewski, O. Jacewicz, doskonały w epizodzie W. Borowy i L. Morozowicz.

Nowy program teatrzyku **„NOWOŚCI"** zatytułowany „Do miodu" znów opiera się głównie na Parnellu i jego balecie. Ten fenomenalny tancerz-aktor i mistrz baletu, ma tyle pomysłów i tak potrafi je zrealizować, jak chyba nikt inny u nas. Z tańców jakie nam Parnell prezentuje najbardziej podobają się „Dożynki" (oparte na motywach naszej ludowej muzyki) i symboliczna pantomina „Demon wielkiego miasta". Ze skeczów najlepszy jest niesamowity „Stary zegar", doskonale zagrany przez J. Malkiewicz, Z. Sawana i Ortyma. Pieśń reprezentuje wspaniały tenor Tadeusz Kostulski (arie z „Tosci" i „Pajaców"), piosenkę — Irena Malkiewicz, recytuje zaś Dymsza „Chłodną piosenkę".

Słowa pełnego uznania należą się za zmontowanie najlepszej obecnie bezwątpienia rewii w Warszawie, p. T. Ortymowi, za skomponowanie miłej dla ucha muzyki, dyrygentowi p. Z. Wiehlerowi, a za piękne dekoracje p. St. Lipskiemu.

Zespół **„NOWEGO MIRAŻU"** powiększył się o jedną dobrą siłę w osobie M. Zarembiny, która z miejsca zdobyła sobie praską publiczność piosenkami charakterystycznymi.

Dużym powodzeniem cieszy się tu również młody baryton Jerzy Komorowski, którego miły głos i kulturalne wykonanie piosenek ściągają do „Mirażu" licznych jego wielbicieli. W ostatniej rewii „Każdy handluje" Komorowski odniósł naprawdę duży sukces artystyczny. **Z. Bakuła**



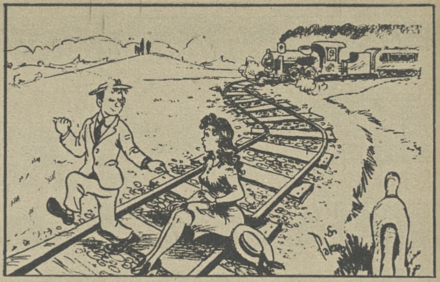
Na zdjęciu od lewej Hanna Libicka, Janina Piaskowska i Władysława Nawrocka.

Fot. Braun



— Tacy są dzisiejsi młodzi ludzie. Przecież widzą wątłego starca z żoną, córką i wnuczką na ramieniu i żaden nie wstanie by zrobić miejsce siedzące.
Wiener Illustrierte

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



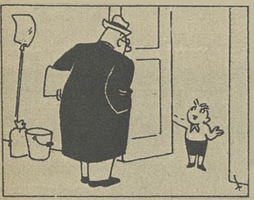
Przykład prawdziwej miłości;
— Zaczekaj mój skarbie, zaraz wrócę.
Wiener Illustrierte



— Pan jest Zygmunt Mączka? Mam dla pana list polecony. Proszę zaraz tu podpisać.
Das Illustrierte Blatt

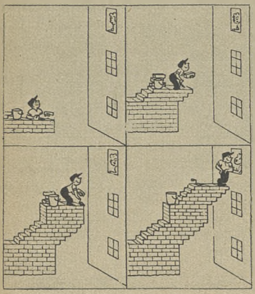


— Nie wiesz, jak się rozpoznaje kierunek wiatru? To przecież całkiem łatwe. Trzeba poślinić palec i podnieść go w górę...
Das Illustrierte Blatt



— Pan Runowski?
— We własnej osobie. Chyba, że chciałby pan mówić ze starszym panem Runowskim, moim ojcem?
Das Illustrierte Blatt

HISTORIA BEZ SŁÓW



Wiener Illustrierte

— Dawniej żona twoja tak rzadko pokazywała się w kuchni, a teraz wciąż w niej przebywa, co ją tak odmieniło?

— Nic takiego, raz tylko powiedziałem kucharce przez pomyłkę: „kochana Juleczko", a ona właśnie stała za drzwiami.

•

— Ojczulku, jaka jest różnica między wizytą a wizytacją?

— Widzisz chłopcze, jak my idziemy do babci, to jest wizyta, ale jak babcia przychodzi do nas, wtedy jest wizytacja.

SZACHY

DZIAŁ SZACHOWY Nr. 25

STUDIUM NR 18

H. Rinck (I nagr. w konk. L'Italia Scacchistica 1923).
Czarne: Kb2, Gc8 i g7, pion: a6 (4).
Białe: Kg5, We1, Gb6 (3).
Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE 3-CHODÓWKI (Kunze)

1. W—f8 S×d5 2. G×a3 i 3×.

PARTIA NR 24 (Kunze)

Białe: **Junge** Czarne: **Keres**

grana w turnieju 6 mistrzów w Salzburgu w r. 1942.
Atak królewsko-indyjski.

1. d2—d4 Sg8—f6	17. Ge3—d2 Ga5—b6
2. c2—c4 e7—e6	18. Gd2—c3 Wa8—d8[6])
3. g2—g3 d7—d5	19. e2—e3 Sf6—e4
4. Gf1—g2 d5×c4	20. Sf3—d4 c6—c5
5. Hd1—a4+ Sb8—d7	21. Gg2×e4 He7×e4
6. Sb1—d2[1]) c7—c6![2])	22. Hc2×e4 We8×e4
7. Ha4×c4 e6—e5	23. Sd4—b3 We8—a4![7])
8. d4×e5 Sd7×e5	24. Sb3—d2 Gb6—a5
9. Hc4—c3 Gf8—d6	25. Gc3×a5 Wa4×a5
10 Sg1—f3 Hd8—e7	26. Sd2—c4 Wa5—a6
11. Sf3×e5 Gd6×e5	27. a2—a3?[8]) f7—f6?[9])
12 Hc3—c2[3]) 0—0	28. e3—e4 Wa6—e6
13. 0—0 Gc8—g4	29. Wa1—c1?[10]) Gg4—f3
14. Sd2—f3[4]) Ge5—c7	30. e4—e5 b7—b5
15. Gc1—e3 Wf8—e8[5])	31 Sc4—d6 a7—a6
16. Wf1—e1 Gc7—a5!	32. Wc1×c5?[11]) Wd8×d6

Białe poddały się

UWAGI:

[1]) To posunięcie jest dla czarnych całkiem nieszkodliwym, jeśli czarne odpowiednio zagrają, jak to partia ta wykazuje.

W XVI p. pojedynku Aljechin—Euwe (1937) grano tu 6. S—c3 c5 7. S—f3 a6! 8. 0—0 G—e7 9. d×c5 G×c5 10. H×c4 b5 11. H—h4 G—b7 12. G—g5 0—0 13. Wa—d1 i teraz powinne były czarne grać H—a5! (14. a3 b4! 15 a×b4 H×b4 16. H×b4 G×b4 poczym 17 . . . h6) 14. S—e5 G×g2 15. S×d7 S×d7 16. K×g2 W—a7 i jeśli teraz 17 S—e4 to H×a2 lub w razie 17. W—d2 f6! lub 17. a3 Wf—c8!

W partii Petrow Aljechin (Margate 1938) nastąpiło 6. S—f3 a6 7. S—c3 W—b8 8. H×c4 b5 9. H—d3 G—b7 10. 0—0 c5 11. d×c5 S×c5 12. H×d8 W×d8 13. G—f4 b4 14. S—d1 S—d5 15. W—c1 S×f4 16. g×f4 G—d6 17. S—e5 G×g2 18. K×g2 i ryzykowna gra Aljechina skończyła się jego klęską.

W partii Rzeszewski—Fine (Avro 1938) grano: 6. G—g2 a6 7. S—c3 G—e7 i teraz 8. S—e5? zamiast poprawnego 8. 0—0!

[2]) O wiele obosieczniejszym było: 6 . . . c5 z powodu 7. S×c4 c×d4 8. G—f4.

W partii Flohr—Euwe (Avro 1938) grano 6 . . . c5 7. S×c4 G—e7 8. d×c5 G×c5 9. S—f3 0—0 10. 0—0 S—b6 11. H—b3 G—d7 12. S×b6 a×b6 13. S—e5 G—a4 14. H—d3 H—e7 15. G—e3 Wf—d8 i partia zakończyła się remisowo.

[3]) Białe nie osiągnęły niczego — czarne mają wygodną grę figur i przezwyciężyły szczęśliwie wszystkie trudności otwarcia.

[4]) Blado zagrano. 14. S—c4 dawało różnorakie szanse kontrataku.

[5]) Z ewentualną groźbą S—d5.

[6]) Grozi 19 . . . G×f2 20. K×f2 H—e3 21. K—f1 S—e4 zdobyciem hetmana.

[7]) Wiąże białą wieżę a1 i niedopuszcza do upraszczającego grę 24. G—a5.

[8]) Białe powinne były tu grać odrazu 27. e4, celem przeprowadzenia skoczka via e3.

[9]) Keres zagrał tu niedokładnie. Właściwym ruchem było tu 27 . . . b5!

[10]) Lepsze możliwości obrony stwarzało 29. K—g2.

[11]) Ostatni ruch przed kontrolą czasu, który jest niepojętym błędem ze strony tak pewnego gracza, jak Junge, mogącym mieć uzasadnienie jedynie w silnym niedoczasie. Białe musiałyby co prawda stracić piona, lecz nie partię, gdyż po 32. S—e4 istniały jeszcze możliwości obrony.

— Nie dosięgasz dzwonka, chłopczyku — pyta usłużna dama, — może ci pomóc?

— Dobrze! — odparł malec uradowany. A po chwili, gdy dama wykonała już swój zamiar, dodaje z błyskiem w oczach:

— A teraz uciekajmy, bo zaraz portier wyjdzie!

•

— Tak mnie strzyka w lewej nodze, że ledwo chodzę.

— Hm . . . to objaw starości, przypuszczam.

— Głupstwa pleciesz, wszakże prawa noga ma tyleż lat co lewa, a nie boli wcale.

•

— Czy Jurek upadł przed tobą na kolana, gdy ci się oświadczał?

— Byłby to zrobił z pewnością, ale nie mógł.

— Dlaczego?

— Bo ja siedziałam na nich.

•

Do lekarza przyszli dwaj chłopcy.

— Połknąłem kulę — wykrztusił jeden z nich.

— Co? — A ty? — zwraca się lekarz do drugiego chłopca.

— Proszę pana doktora — odpowiada zagadnięty płaczliwym głosem — to właśnie była moja kula, więc czekam aż ją pan doktór wydobędzie.

•

Po pierwszym pocałunku pytała się Leoś swojej narzeczonej:

— Całować się nie jest zdrowo, co ty o tym myślisz?

— Ja nie wiem — jąkała się Mania — ja byłam . . . ja jeszcze nigdy . . .

— Co, jeszcze nigdy nie całowałaś się?

— Nie, tylko nie byłam z tego chora.



— Wydajesz mi się dzisiaj zupełnie innym, Jasienku.
— Bo też jestem Waciem, a nie Jasiem.
Wiener Illustrierte



— Kto to?...
Munchner Illustrierte



— Do diabła, nie mógł pan trochę delikatniej zatrzymać windę?
Münchner Illustrierte

Żniwa = punkty = towary





Poniżej: Kwitnące słoneczniki.



Na prawo: Zbiór kartofli.

Fot. Witzleben i Peters, Löhrich, 2 Archiwum.

Poniżej: Żniwiarka w polu.

Poniżej w kole: Maki



To jest całkiem prosty rachunek. Wieśniak oddaje ze swego gospodarstwa płody rolne do punktu zbiornego, a wzamian za to otrzymuje premie równoznaczne z pewną ilością punktów. Przy pomocy tych premij, wieśniak może zaopatrzyć się w towary potrzebne mu w życiu codziennym.

Są premie na 1, 2, 5, 10, 20 i 50 punktów. Zebrawszy kilka premij o wartości 100 punktów można nabyć za nie 1 suknię, albo spódnicę wełnianą, albo 5 metrów materiału na sukienkę ze sztucznego jedwabiu lub też inne towary tekstylne; oprócz tego 5 l wódki, 300 papierosów, 2 1/2 kg wyrobów z żelaza, wyrobów skórzanych wartości 10 zł, środki do prania, albo świece w cenie 10 zł oraz inne artykuły gospodarstwa domowego w cenie do 5 zł.

Za różne płody rolne, warzywa z własnego ogrodu, czy też za bydło dostaje wieśniak za każdym razem pewną określoną ilość punktów. Na przykład: Za 100 kg żyta lub kukurydzy 10 punktów, za 100 kg pszenicy — 13 punktów, za 100 kg fasoli, grochu lub soczewicy — 20 punktów, za 100 kg słonecznika — 30 punktów, za 100 kg nasion maku — 50 punktów, za 100 kg ziemniaków w cenie 100 zł — 10 punktów itd.

Akcja premiowa za produkty rolne, która już dwa lata temu została zapoczątkowana przez Urząd Gospodarki Wyżywienia i Rolnictwa, również i w tym roku przeprowadzona jest sprawnie, a nawet w niektórych szczegółach bardziej rozszerzona jak w dwóch latach poprzednich.

